

Wiersze z tomu „Biały tydzień”:

* * *

Chciałem zobaczyć kulistą duszę wiatu.
Przekrój przez słoje jej miśnię, nasze ciała
zanurzone w porannym świetle. Niegu było tyle,
nie potrafili mi mówić o niczym innym, dni krótkie
i ciemne; ju przy obiedzie zapalali mi lampy.

Zło wypędzała z domu. Bili mi się w ród drzew.
Pragnęłam zobaczyć twój płacz, to, co nie ma
między nami różnicy. Obcy wiersz powiedział,
czego nie chcieli mi wiedzieć, odsłonił tęczną szczyt.

Chciałem zobaczyć duszę wiatu. Twarda, za linion
jak kamień w pysku psa. Z krwi na wardze wracałem
le na drogę, oderwałem od pnia hubę, zламаłem gałąź.
Na wzgórzu rozłożyłem ramiona. W moją stronę
biegło niebo. Miało kolor rozkrajanej w troby.

BIAŁY TYDZIEŃ

Miała się rozpocząć, potem trwała ogłupiała.
Robotnik zamiatł dziury w asfalcie,
dentysta cię kłód liny w wrzucal do miski.
Poruszyłem się, stoję pod nasłonecznionym murem,
obserwowałem jak chłopak kradnie chleb.
Nad ranem moja babka malowała się, by nie widzieć
jak potyka ją lustro. Klęczała przed radiem, jej twarz falowała.
Wycierając ręce o spodnie rozumiałem ludzi,
którzy mnie pobili. Kto zadzwonił. Zanim dobiegłem,
rozłączył się. Promień rozdzielało szkło stoika,
rodkiem rzeki płynęły przekrzykujące się głowy.

PŁA LITERATURY (KOLDA)

Chciałbym tu mieć za sobą.
Chciałbym, żeby to było już zapisane.
Wojnacy, który obiecał pomoc, upił się,
w okna patrzył w ty, trzymając dłoń
na mokrym grzbiecie klaczy.
Przez całą noc doglądał damy piwego;
wyglądaliśmy przez cieradło,
strzeżujemy termometr.
Nad ranem otaczamy łóko.
Obcałowujemy nieobecny twarz.

OKO

Chwila, gdy zobaczyłem, co moi nauczyciele
słuchają jak my – artur, czekaj, kupuj bilety,
wykłócając się o zważone owoce.

Chwila, gdy zobaczyłem, co wiat obchodził się bez nas –
walczył ze sobą, wrony zostawiły koło sadzonek klębi pierza,
dziewanna po zimie przewdrowała na drugą stronę plotu.

Chwila, gdy zauważyłem siebie. Obróciłem w stronę słoika
dno butelki, brudny okular. Przez powieki
widziałem jak zestrzelone ptaki wpadały w wodę
i chłopak mdlał w chorze.

RODZICE CHRZESTNI

Przystawałem, jadłem na rowerze, by przez szpary
między sztachetami spojrzeć na ich dom.
Parował srebrny dach, z ciepłego ciasta sterczała
sosnowa rękawica, na parapetach puchnące kwiaty,
przesadzane do coraz większych doniczek.
Długie suche dni, jednoramienny hułtaw.
Córka wyjechała dawno temu, syn student pono
nawrócił się, gdy rozkroił człowieka.
Znałem ich mało, teraz jestem bliżej, gdy się nie
on gołymi dłońmi szarpie dla wiewiórki,
ona w skimiłkami wypatruje w trawie w a.

SYMETRIA

Mróz unieruchomił miasto. Zastygły gałąź,
w powietrzu zawisły dymki – białe oddechy.
Minęli my podwórce, spojrzeli my w pustą oczy
domu naprzeciw. Ręk pokazałem ci miejsce

w ród drzew, gdzie białe, pókniej w ciepłe
kroili mi przyniesione z balkonu, zmarznięte miśnię.
Dogasał dzień. Nad dachami dygotało bielmo nieba,
za cianką zakaszłała płuczka, siedział krzykiem

ostrzył psa. Na palcach liczyli mi naszych wrogów;
poukrywani budzili się, by łaknąć. Przed lustrem
cierpliwie wyjmowałem wtopiony w mydło włos.
Zamknęłam usta i powieki. W ródku wyło i wyło.

PIOSENKA SARMACKA

Praga rzeki, szurzące twarze, głowa pełna krwi.
Nie wiem, gdzie odeszli tancerze umarli, nad jak schylają się
teraz kołyski. Jestem przezroczyście, rozstawiony po kątach.

Sklejona powieka, czujne ucho, głowy pełne krwi.
A pod cianką obraży bezimiennych: malpa kuli się przed bogiem,
w piśmie tej czaszce, z oczodołu do oczodołu przez lizguje się mijają.

PODRÓŻNICY

Dwa walczyli ze sobą w e,
spłecione jak w miłosnym uścisku.
Dzieci cigaję się w kłamstwach, by dostać owoc.
Kuszał tajemnicą zdrady, wiatła latarek
przezesuwał drzewa. Dziewczyna, która widzi,
jej uczucie było tylko zazdrość. Ziarno rzucone kurom,
rozkołysany dzwon umarłych, silnik co ucichł w polu.
Granica między odgłosem a nutą. Ból, jego napięty łuk
w ciele ojca, który obuchem siekiery uderza się w dłoń.
Panny kręcone wokół krzesła, by złapać welon,
księżyc w lisiej czapie, łódka z ośrodkami chleba.
Wzniesiony w górę kielich. Serce wina.
Dręca sierść schwytanego wilka.
Walczyli ze sobą w e, spłecione
jak w miłosnym uścisku.

TERAZ JUŻ NIE (KAMYKI)

Ile zło ci trzeba wytrzymać,
by postawić na swoim?
Potem i tak zostaję wbrew sobie
na maleńkiej wysepce gniewu.
W miejscu, gdzie myślałem,
nie jesteś. Wiesz, co,
e kto cię w mnie siedzi.
Zabarykadowany, czujny.

Do sztachet podchodzi stara kobieta.
Nie mówi już nic. Całe życie
czy cię obrzucisz pole pod uprawy.
Teraz patrzy na swój dorobek –
leżące na miedzy białe stert kamieni.

POCZTÓWKA Z EUROPY

Oboje powtarzali: nam się to nie zdarzy.
Trzymając się za ręce patrzyli jak cieką z farbami
brudną na granatowo rzekę.
Ich córka wyszła tydzień temu, koło łóki wci
le jej spodnie ze łzami wartej trawy.

Ojciec płuł obryzionymi paznokciami,
potem wyszedł zbijać sople nad oknem sypialni.
Ona była spokojna, starannie dobierała słowa,
bezdolnie nie rozłożyła talerzyki na sernik.
Rozplakała się dopiero, gdy włączono kamerę.